



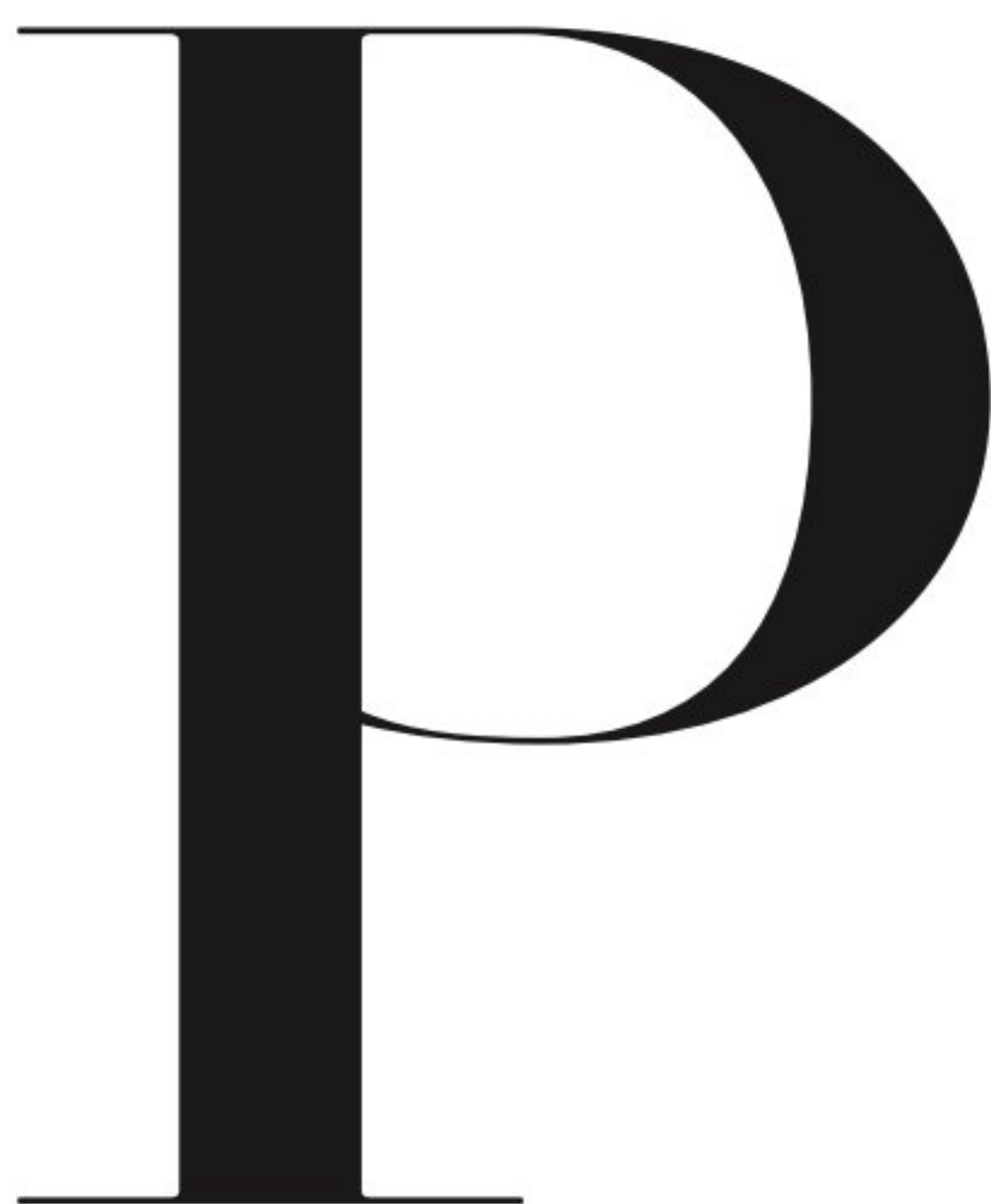
*Główna rola w nowym filmie Pawła Pawlikowskiego,
debiut u Marka Koterskiego i Wojciecha Smarzowskiego.
To będzie rok Joanny Kulig*

z JOANNĄ KULIG rozmawia MAJA STANISZEWSKA

Aktorzy

BYWAJĄ MĘCZĄCY.





Postanowienie noworoczne?

– Robić sobie dłuższe przerwy na cieszenie się życiem.

Nawet telefon staram się po siedemnastej odkładać. Wstanę rano, zjem śniadanie i dopiero sprawdzam, oddzwaniam, załatwiam. Żeby nie być 24 godziny na dobę online. Nie mam czasu normowanego, muszę sama normy swoje tworzyć. Zwłaszcza że kiedy jestem na planie w fikcyjnej rzeczywistości, to potem ta prawdziwa mnie dopada – rodzina, znajomi, sprawy urzędowe. Pełno zaległości, nieprzeczytanych książek, nieobejrzanych filmów i niewysłuchanych koncertów. No i zmęczenie. Po trzech latach pracy non stop czuję, jakbym wróciła z bardzo dalekiej podróży. Dlatego latem pojechałam na długi, daleki urlop, aż do Kalifornii. Postanowiłam się nie denerwować zaległościami, tylko na spokojnie je nadrabiać. W moim zawodzie raz jest za dużo, raz nie ma wcale. Było już tak, że osiem miesięcy nie miałam pracy.

To sprawia, że próbujesz się nagrać, napracować na zapas?

– Teraz już nie, ale wtedy się bałam, że szansa może się nie powtórzyć. Łączyłam więc serial z filmami. To było trudne, ale też dobre. Praca na planie „O mnie się nie martw” bardzo się przydała – w serialu dziennie kręci się nawet 8-10 scen, potrzebna jest więc duża koncentracja, także na technicznych elementach, np. pracy z kamerą, światłem, ekipą. To mnie nauczyło działania na wysokich obrotach, w stresie, pod presją czasu. Teraz już wiem, że są tłuste i chude okresy i nie warto mieć poczucia winy, jak się z czegoś rezygnuje.

Miałas kogoś, kto mówił: „Aśka zwolnij, bo z lodówki zaraz wyskoczysz”?

– Ależ były też rzeczy, z których zrezygnowałam. Wygrałam na przykład casting do „Elle” Paula Verhoevena, miałam grać synową Isabelle Huppert. Zdjęcia kolidowały z teatrem, ale udało mi się to załatwić. I nagle się okazało, że dwa dni nakładają się z filmem Anne Fontaine „Niewinne”. Bardzo chciałam zagrać w „Elle”, ale musiałam zrezygnować, zerwanie kontraktu byłoby nieprofesjonalne. Smutno mi było, ale byłam dumna, że wygrałam casting, że poznałam Verhoevena. Praca z Anne Fontaine okazała się zresztą niezwykle inspirująca. Spotkała się świetna ekipa dziewczyn, plan był wyjazdowy, czułyśmy się jak na koloniach.

A jak plan się kończy?

– Jest syndrom odstawienia w postaci kilkudniowego doła. Tęskni się za ludźmi, z którymi przebywało się po 12 godzin dziennie przez co najmniej miesiąc w warunkach stresu, żyło w wypreparowanym świecie. Zanim te emocje zejdą, zanim zwolnią obroty, bywa ciężko. Nauczyłam się zużywać tę adrenalinę w sporcie, choćby na nartach, ale trochę mi to zajęło.

Są momenty, że chciałabyś zostać panią z okienka na pocztę, wracać do domu i nie myśleć o pracy?

– Oczywiście. Myślałam całkiem poważnie o praktykach u szewca – pociąga mnie konstruowanie butów. Chciałabym potrafić zrobić coś od zera. Siostra mi nawet podarowała na urodziny kurs garncarstwa. Pojawia się we mnie tęsknota za pracą bardziej konkretną, ale też kończąca się o określonej godzinie, po której ma się czas dla siebie. Ludzie mnie rozpoznają, głównie za sprawą serialu, czują się ze mną związani, traktują jak koleżankę, chcą porozmawiać. Jestem otwarta, ale czasami nie mam siły, jestem skupiona na własnych myślach, chciałabym pomilczeć. Ktoś mi radził, żeby – szczególnie w taksówkach – mówić jak pewien aktor: „Przepraszam, modlę się” (*śmiech*).

A ludzie rozmawiają z tobą czy twoją serialową bohaterką?

– Kiedyś jedna pani rzuciła się na mnie z okrzykiem: „Iguniu, muszę cię pocałować”. Ale zazwyczaj ludzie po prostu opowiadają o sobie. Ostatnio w kolejce podmiejskiej spotkałam pana z wielkim koszem grzybów, który najpierw zaczął opowiadać o grzybach, potem zdjęcia dzieci mi pokazywał. Z tego wszystkiego na stacji kupiłam od razu wia-

dro grzybów i zaprosiłam przyjaciół na jesienną kolację. Bo w mieście się zapomina o porach roku, a ta rozmowa i to spotkanie jakoś mnie natchnęły, uszczęśliwiły. Innym razem spotkałam czterech kolesi, trochę żulików. Jeden zapytał, czy może z mojego telefonu zadzwonić na policję. Podałam telefon, a on na to, że żartował i że od godziny testują ludzi, czy im dadzą zadzwonić, i ja jestem pierwsza, która się zgodziła. Zaczęliśmy rozmawiać i jeden z nich mnie rozpoznał jako Zuzę z „Pitbulla”. Zaproponował mi wymianę chustki z Woodstocku na okulary, inny poprosił o autograf...

Zawsze byłaś taka otwarta?

– Tak, choć czasem to jest zgubne. Paweł Pawlikowski powiedział, że bym sobie gdzieś pojechała przed zdjęciami, bo się szybko zapalam i wypalam. Idealnie mnie podsumował. Potrafię pracować cztery dni non stop do zjazdu, trzy dni wolnego i już mogę pracować znowu. Ale muszę mieć te przerwy. Spotykam się wtedy z przyjaciółmi, pogadam, mogę sobie nawet popłakać, oni to rozumieją. Mam takie przyjaciółki, nie z branży – Karinę, która jest psychologiem, i Agę, która prowadzi w Warszawie kawiarnię Mjud, gdzie lubię wpadać, aby się z nimi spotkać. Lubimy po prostu posiedzieć i pomilczeć. Czasem czytamy, czasem gadamy, czasem idziemy na siłownię. Pielęgnowanie przyjaźni, znalezienie na nie czasu jest ważne, bo nie zostaniesz sam. Tworzy się miłość przyjacielska.

Wykorzystał ktoś kiedyś twoją otwartość?

– Raczej nie. Ludzie to lubią, a i zawodo-wo się to przydaje – aktor przecież cały czas podgląda, czerpie od innych. Musiałam się jednak nauczyć oddzielania rzeczywistości od fikcji, wchodzenia i wychodzenia z roli. Bo na początku mojej zawodowej drogi, jeszcze w szkole teatralnej, oddawałam wszystko i się natychmiast wypalałam. Trzeba się uczyć równowagi. Marta Stebnicka, moja profesor i wspaniała aktorka, zawsze mi mówiła: „Pamiętaj, Joasiu, o semaforach. Jak wychodzisz z teatru, to mów sobie: »Zamykam semafor teatr«, jak wchodzisz do domu, mów: »Otwieram semafor dom«. Wciąż mi się zdarza, że wracam do domu i wchodząc po schodach, mówię: „Włączam semafor dom”.

Skąd się wzięło to wypalenie na studiach?

– Gdy trafiłam do szkoły teatralnej w Krakowie, szło mi bardzo źle. Ciągłe myślałam jeszcze o śpiewaniu, chciałam stu-

diować w Akademii Muzycznej w Katowicach, zostać piosenkarką, ale dwa razy się nie dostałam, więc wybrałam Kraków, bo był tam wydział wokalny-estradowy. Musiałam grać w jakichś etiudach, nie miałam do tego przekonania, więc mi nie szło. Ciągle słyszałam, że mnie wyrzuca. Nagle na drugim roku zwrot akcji – przychodzi Mikołaj Grabowski, dyrektor Starego Teatru, bierze naszą grupę muzyczną do pracy u siebie. Pytam: „Panie Mikołaju, czy grać trzeba tak dobrze jak śpiewać?”, on potwierdza, więc oddaję wszystko grze aktorskiej i zaczyna mi wychodzić. Grabowski zaprasza mnie na casting do teatru, wygrywam, gram Hermię w „Śnie nocy letniej” w reżyserii Mai Kleczewskiej z moimi pedagogami: Małgorzatą Hajewską, Romanem Gancarczykiem, Krzysztofem Globiszem. W trakcie prób okazuje się, że film „Środa, czwartek rano”, do którego casting wygrałam rok wcześniej, powstanie, więc pierwszy raz w życiu jadę na plan, potem pojawiają się kolejne role. Wszystkiego uczę się w teatrze, dostaję w nim etat, gram 18 spektakli w miesiącu, za film dostaję nagrodę dla naj-

co robić po szkole, jak szukać pracy. Ale też, że wszystko, czego się po drodze nauczyli, może im się przydać. U mnie tak było na przykład z zajęciami z ruchu scenicznego, dzięki którym dostałam rolę w hollywoodzkiej produkcji „Hansel i Gretel. Łowcy czarownic”. Na castingu miałam zagrać trans, więc przywołałam szkolne zadanie o małej myszce, którą mieliśmy sobie wyobrazić biegającą w ciele i reagować na to jej bieganie. Dużo nas uczą w szkołach teatralnych otwierania się, ale nie uczą zamknięcia, no i nie ma zupełnie nic o przedsiębiorczości. Jak znaleźć agencję, jak nauczyć się autoprezentacji i jak tworzyć wokół siebie krąg ludzi, którzy cię inspirują i wspierają. Ja podczas zdjęć do pierwszego filmu często dzwoniłam do Krzysia Globisza radzić się, jak grać. Kiedy po 20 dniach pracy w serialu, równoległe z filmem, poczułam się wykończona, zadzwoniłam do Agaty Kuleszy, która dała mi wskazówki, jak rozkładać energię. To jest bardzo ważne – mieć takie autorytety, na których można się wesprzeć. Trzeba ich szukać i pielegnować.

w całej szkolnej karierze. Gdy szkoły były dwie, byłam tak zorganizowana, zdyscyplinowana, że radziłam sobie świetnie. A jak została jedna, to miałam wrażenie, że mam nie wiadomo ile czasu, spałam do 12, nie mogłam się zmobilizować.

Gdzie teraz jest twój dom?

– W Warszawie. To za nią, a nie za Krakowem czy Muszynką tęsknię, jak jestem daleko. Tu jest mój dorosły dom, który zbudowaliśmy z Maćkiem. Zrozumiałam, że w tym mieście przyjaciele stają się rodziną.

Mówi to osoba, która ma czworo rodzeństwa, 80-osobową rodzinę...

– Moja mama ma sześć siostr, a osoby z wielodzietnych rodzin często same mają wielodzietne rodziny, więc jest nas dużo. Ale jeśli się z domu wyjedzie, to zupełnie naturalne, że szuka się bliskich osób w nowym otoczeniu. Moja siostra Ania mieszka od siedmiu lat w Szwajcarii w okolicach Lucerny. Jest z wykształcenia ekonomistką, ale skończyła średnią szkołę muzyczną, gra na klawirze, i chcąc poznać lepiej swoją nową małą ojczyznę, zapisała się do lokalnej orkiestry dętej.

MÓJ DOM JEST DZIŚ W WARSZAWIE. W TYM MIEŚCIE PRZYJACIELE STAJĄ SIĘ RODZINĄ

lepszej debutantki na festiwalu w Gdyni... Z tyłu głowy wciąż śpiewanie... Nie umiałam rozkładać energii, rozdzielać świata zawodowego i prywatnego. W wieku 24 lat nie miałam dystansu. Dziś pewnie bym to poukładała inaczej. Wtedy zadziałałam intuicyjnie. Zostawiłam wszystko, żeby się na nowo poukładać.

Zwolniłaś się z teatru i kupiłaś zeszyt...

– ...napisałam na okładce „Firma Joanna Kulig”, w środku wypisałam zamiary na drugich reżyserów, którzy zajmują się zazwyczaj castingiem, ciągle szukają nowych twarzy, i zaczęłam się z nimi umawiać na spotkania. Chciałam pracować w filmie, nie w teatrze. Wszystkie pieniądze wydałam na dema, ale było warto. Zaowocowało to trzema różnymi rolami: w niemieckiej produkcji „Zagubiony czas” Anne Justice, „Janosiku” Agnieszki Holland i serialu „Szpilki na Giewoncie”. Ostatnio studentom wydziału aktorskiego opowiadałam,

To, że wcześniej wyjechałaś z rodzinnego domu, pomogło?

– Miałam 15 lat, kiedy zamieszkałam w internacie szkoły muzycznej w Krynicy-Zdroju, potem mieszkałam w internacie w Krakowie. Zawsze lubiłam ludzi, zawsze byłam odważna. Jeśli trzeba było coś pozałatwiać, to byłam pierwsza, organizowałam, lubiłam to. Teraz wolę jednak mniej hałasu. Profesor Bogdan de Barbaro, psychiatra i terapeuta, którego bardzo cenię, mówi, że chętnie by zapisywał pacjentom na receptę ciszę. Te szkoły muzyczne bardzo mi się przydały potem. Dobrze jest dzieci edukować muzycznie – lepiej się uczą także w dorosłym życiu. Mnie się to przydało na przykład do nauki języków obcych, jednak „pootwierane uszy” są cenne. No i dyscyplina – gdy jej zabrakło, bo technikum hotelarskie w Krakowie skończyłam rok wcześniej niż średnią szkołę muzyczną, to miałam najgorsze egzaminy

Tobie muzyka otworzyła drogę do kariery, w wieku 15 lat wystąpiłaś w „Szansie na sukces”.

– A do szkoły teatralnej zdawałam tylko dlatego, że był w niej wydział wokalny-estradowy. Mikołaj Grabowski wziął grupę muzyczną do „Operetki” Gombrowicza i tak znalazłam się w Teatrze Starym. Paweł Pawlikowski zatrudnił mnie w „Kobiecie z piątej dzielnicy”, a potem w „Idzie” dlatego, że jestem muzykalna. Jego „Zimna wojna” to też film muzyczny. Dzięki niemu poznałam zespół Mazowsze i spędziłam z nim bardzo dużo czasu. Dzięki temu, że zaśpiewałam na koncercie fundacji Anny Dymnej, dostałam zaproszenie na kolejny. Śpiewam w Teatrze Ateneum dobre piosenki w ciekawych aranżacjach, ze wspaniałymi tekstami Agnieszki Osieckiej i Wojciecha Młynarskiego. Więc cały czas muzyka mnóstwo nowych rzeczy mi przynosi.

U Pawlikowskiego śpiewałaś już w dwóch filmach, teraz w głównej roli w „Zimnej wojnie” nie »

JOANNA KULIG

–ur. w 1984 r. w Krynicy-Zdroju.
Wychowała się w nieodległej
Muszynie w muzycznej rodzinie.
Od dziecka grała na instrumentach
i śpiewała. Jako 15-latkę wzięła udział
w telewizyjnej „Szansie na sukces”.
Skończyła podstawową szkołę
muzyczną w klasie fortepianu, średnią
szkołę muzyczną w klasie śpiewu
solowego oraz technikum hotelarskie.
Absolwentka Państwowej Wyższej
Szkoły Teatralnej w Krakowie, w latach
2007-08 aktorka Starego Teatru
w Krakowie. Od 2014 r. w zespole
warszawskiego Teatru Ateneum

tylko śpiewasz, ale także tańczysz. Grasz solistkę zespołu ludowego.

– To jest film o wielkiej, ale trudnej miłości, w trudnych czasach, a muzyka jest tu jeszcze jednym bohaterem. Od tej ludowej, przez bel canto, po knajpiano-jazzową. Mam szansę pokazać skalę swoich możliwości, coś takiego naprawdę rzadko się zdarza. Bardzo o tę rolę walczyłam, to były trudne castingi.

Ale przecież znacie się z Pawlikowskim od lat, doskonale wie, co potrafisz, napisał specjalnie dla ciebie rolę w „Kobiecie z piątej dzielnicy” i w „Idzie”, a mimo to musiałaś wziąć udział w castingu?

– Dla Pawła film jest najważniejszy. Szczególnie mi powiedział, że o mnie myśli, ale jeszcze szuka. Jest perfekcjonistą. Tym bardziej się cieszę, że tę rolę dostałam. Na ostatnim etapie został już tylko jeden kłopot – że mo-

nym. Jak zrobiłam porządki po filmie, znalazłam 17 wersji scenariusza. On mówi: nie myśl o słowach, zostawia miejsce na improwizację. A u Marka Koterskiego na planie jest dwóch asystentów, którzy pilnują, żeby żadne słowo, nawet żadna kropka nie zostały zmienione. Z kolei u Wojtka Smarzowskiego jest bardzo zżyta ekipa, wszystkie filmy robią razem, więc wchodzisz do zastanego organizmu, który ma już swoje skróty myślowe, kody. Inna też jest estetyka. U Pawła pięknie, u Wojtka turpizm. To było przeżycie, żeby tak przeskakiwać, ale 2017 rok był dla mnie rokiem spełnionych marzeń obsadowych.

Grałaś też u męża, Macieja Bochniaka, w jego debiucie fabularnym „Disco polo”.

– Z Maćkiem było jeszcze inaczej. Okazało się na planie, że on pracuje bardzo technicznie. Film był szczegółowo rozrysowany i zaplanowany, wszyscy aktorzy dostawali

rower. I jak wrócę, mamy wspólny czas. Ale dzięki temu, że na co dzień obserwuję, z czym on jako reżyser się mierzy, to łatwiej mi innych reżyserów zrozumieć. I uświadomiłam sobie, jakimi my, aktorzy, jesteśmy czasami męczącymi ludźmi...

Nasza grudniowa bohaterka Cate Blanchett, prywatnie żona dramaturga, scenarzysty i reżysera, mówi, że spotyka się z odwróconym seksizmem – ponieważ ona jest znaną aktorką, kariera jej męża dla wielu ludzi staje się nieważna. Czy wy też macie ten problem? Nie da się ukryć, że jesteś bardziej znana od męża.

– Aktorzy po prostu są bardziej znani od reżyserów. Aktor jest twarzą na ekranie, potem są wywiady, sesje zdjęciowe. Ludzie czują, jakby trochę do nich należał. Reżyserzy są bardziej w cieniu, ale nie mam poczucia, że kariera Maćka jest mniejsza. Jak w wieku trzydziestu lat debiutujesz filmem fabularnym, na który idzie do kin niemal milion ludzi, to przecież jest coś, podobnie – jak robisz dokumenty, które są pokazywane na festiwalach międzynarodowych. Każde z nas w swojej dziedzinie się spełnia. Wiadomo, że jak ktoś w zawodach artystycznych ma wyraźnie mniej pracy niż ta druga osoba, to mogą się pojawić napięcia, zazdrość. Zwłaszcza, jeśli to jest para aktorów, ale nas to nie dotyczy. A tak to się czasami tylko zdarza, że gdy Maciek długo pisze, jestem zazdrosna o ten czas.

Masz doświadczenie w graniu we Francji, w hollywoodzkiej superprodukcji, w polskim kinie w różnych gatunkach, grałaś też w Korei.

– Znalazłam się tam dzięki „Sponsorin-gowi” Małgośki Szumowskiej. Asystentka z produkcji, pół Koreanka, pół Francuzka, pokazała koreańskim producentom film, zaprosili mnie na casting przez Skype’a. Wygrałam. Oni w Korei mają zupełnie inny system, około 80 dni zdjęciowych na film, czyli trzy-cztery razy dłużej niż u nas. Każdy dubel jest pokazywany aktorowi, jest kult gwiazdy, pewna kastowość. Jak się pomyliłam i wsiadłam do busa dla ekipy, a nie do podstawionego dla mnie samochodu, były potem dociekania, jak do tego doszło, kto nie dopatrzył. Maciek, który przy okazji filmu dokumentalnego „Miliard szczęśliwych ludzi” miał do czynienia z Chińczykami, uczył mnie, żebym się nie rzucała ścisnąć czy obcałowywać Azjatów. Trudno mi było trzymać dystans, ale się starałam. Grałam w filmie na pod- »

OD MĘŻA USŁYSZAŁAM: PISZĘ BARDZO POWAŻNĄ SCENĘ POGRZEBU, TRUMNĘ SKŁADAJĄ DO GROBU, A TY MI NA TEJ TRUMNIE TAŃCZYSZ

ja bohaterka ma na początku filmu 18-19 lat i Paweł się bał, że za poważnie wyglądam, więc schudłam, robiliśmy różne kombinacje, przymiarki, warkocz rozjaśniałam. W końcu, gdy legendarny charakteryzator Waldemar Pokromski zrobił mi charakteryzację, na zdjęciach wyglądałam – wszyscy tak mówili – na 15 lat. „Zimna wojna” to była ciężka praca, treningi pięć dni w tygodniu przez wiele miesięcy, no i cały czas dieta. A ja nienawidzę być na diecie. Czasem się chowałam z kotłem przed Pawłem, bo on patrzył krzywo i pytał: „Co ty tam znowu jesz?”. Kiedy potem oglądałam efekt, widziałam, że miał we wszystkim rację. To wielkie szczęście pracować z kimś, kto ma wizję i kto zrobi wszystko, aby ta wizja była piękna.

Film Pawlikowskiego to jedno, ale w 2018 r. zobaczymy cię też u Marka Koterskiego i Wojciecha Smarzowskiego. Każdy z tych reżyserów ma zapewne inny styl pracy, bo na pewno każdy ma inną osobowość...

– ...zdecydowanie. Paweł cały czas zmienia tekst, mieliśmy mnóstwo prób czyta-

precyzyjne techniczne uwagi, co i jak mają robić. Nie było jakiegoś emocjonalnego grania. Było za to bardzo ciekawe doświadczenie, czyli poznanie Maćka w pracy. Nawet się śmiałam, że na okres zdjęciowy musieliśmy się mentalnie rozwieść. Bo reżyser, jak tworzy świat, to jest w nim tak zagłębiony, że nie ma z nim kontaktu. A jeśli to jest pierwszy film, to dochodzi jeszcze ogromny stres. Na co dzień życie pod jednym dachem dwójki artystów to nie jest prosta sprawa. Na przykład: ja się przygotowuję do „Zimnej wojny”, włączam sobie Mazowsze w kuchni na cały regulator, zaczynam tańczyć, a on przychodzi, żebym ściszyła. Obraziłam się, stwierdziłam, że idę na spacer. A on za mną i tłumaczy: „Piszę bardzo poważną scenę pogrzebu, składają trumnę do grobu, jestem skoncentrowany i nagle widzę ciebie tańczącą na tej trumnie – cały twój świat wchodzi mi do głowy”. Dla mnie to była chwila ekscytacji, dla niego kłopot. Potem się z tego śmialiśmy. Teraz, jak on pisze, staram się wychodzić – z koleżankami, do teatru, na



TRZEBA EMOCJE WYRAŻAĆ. W DZIECIŃSTWIE UCZĄ NAS, ŻE JAK SIĘ ZŁOŚCISZ, TO JESTEŚ ZŁY. A TO PRZECIEŻ BZDURA

stawie prawdziwej historii, którą żyła cała Korea – młodej matki wrobionej w przemyt narkotyków. Ona się w więzieniu zaprzyjaźniła ze Słowaczką, którą grałam ja. Kręciliśmy w prawdziwym więzieniu w Dominikanie w Wielkanoc, i to było niezwykle przeżycie – słuchanie „Alleluja” śpiewanego w zamknięciu przez więźniarki było metafizyczne. Czasami rola to jedno, a spotkania z ludźmi są o wiele ważniejsze. Jeon Do-yeon, która grała główną rolę, jest w Korei wielką gwiazdą. Chodził za nią po planie pan z wiatrakami, kiedy miała przerwę, siadała na kolanach charakterystyki, a ta gładziła jej włosy, ale okazała się ciekawa naszej kultury, naszej kuchni. I mnie też – wszędzie chodziliśmy razem. **Czy w którymś z tych filmowych światów przydarzyło ci się to, o czym od października za sprawą Harveya Weinsteina jest głośno, czyli niestosowne zachowanie czy nawet molestowanie ze strony producentów, reżyserów czy ekipy?**

– Nie, na pewno nie z premedytacją. Oczywiście zdarzyło mi się, że kolega nie

potrafił, jak ze mną rozmawiał, trzymać rąk przy sobie – mnie się też czasem zdarza, że nie trzymam dystansu – ale zwróciłam mu uwagę, przeprosił i przestał. Dzięki „Sponsoringowi”, w którym grałam nago, nauczyłam się oddzielać rolę od siebie. Zagrać kontrowersyjną postać to jedno, ale Joanna Kulig ma mocno postawione granice. Jak grałam w „Kobiecie z piątej dzielnicy” sceny z Ethanem Hawkiem, to po klapsie byliśmy blisko, ale jak tylko kamera się zatrzymała, wracał dystans. Nie powinno się wykorzystywać scen intymnych, flirtować. Mnie się nie zdarzyło, żeby jakiś aktor z premedytacją przekraczał moje granice na planie albo ktokolwiek inny poza planem. Ja też nigdy nie flirtowałam, żeby coś uzyskać.

Myślę, że gdyby ze mną ktoś próbował, zachowałabym się po góralsku – dała w łeb i może nawet zadzwoniła na policję. Ale wiem, że nie wszystkie kobiety tak potrafią, to są trudne psychologiczne zagadnienia. Jeśli ktoś jest molestowany, jego granice są przekraczane, jeśli ktoś jest krzywdzony, to





4

5

1 Paweł Pawlikowski napisał dla niej rolę piosenkarki w „Idzie” (2013 r.)
 2 W „Sponsoringu” (2011 r.) Małgorzaty Szumowskiej grała z Juliette Binoche, improwizując, gdy zabrakło jej francuskiego słowa 3 Obejrzenie samej siebie w spektaklu Teatru Telewizji „Doktor Halina” (2007 r.) w reż. Marcina Wrony rozwiało jej wątpliwości, czy powinna być aktorką
 4 „Disco polo” (2015 r.), debiut fabularny jej męża Macieja Bochniaka, obejrzało w kinach prawie milion widzów 5 W „Niewinnych” (2016 r.) w reż. Anne Fontaine znów śpiewała, tym razem chorale gregoriańskie
 6 Z Maciejem Bochniakiem są małżeństwem od 2009 r.



trzeba reagować. To wspaniałe, że kobiety zebrały się na odwagę, że reagują, że opowiadają. Tylko w tej delikatnej materii bardzo bym chciała uniknąć epatowania. Ważne, by mówić, gdy dzieje się zło. Ale nie wolno tego wykorzystywać do własnych celów. Jest szansa, że akcja #metoo coś oczyści. Nadużywanie władzy było od wieków, może teraz będzie trudniej. Wierzę w kobiety, w kobiecą siłę i solidarność. I cieszę się, że żyję w tych czasach.

Skąd masz tę radość?

– Jestem zdrowa, mam szczęśliwe małżeństwo, wspinałam rodzinę. Zawodowo wszystko się układa – mam pracę, ale także czas dla siebie. Mogę się zaangażować i komuś pomóc – czy to w akcję Szlachetna Paczka, czy w Akademię Przyszłości wspierającej słabszych uczniów, czy w fundację Anny Dymnej. Mnie też ludzie kiedyś pomagali, mogę to podać dalej. Pamiętam artykuł, w którym zapytano filozofa, jak by spędził ostatni dzień życia. A on na to, że rano by sobie zrobił kawę, przeczytał gazetę, spotkał się z bliskimi, poszedł na spacer. Same zwykłe rzeczy. To mi się bardzo spodobało. Nasza polska natura jest taka, że koniecznie trzeba ponarzekać. Musiałam się nauczyć, żeby nie opowiadać, co się złego stało, tylko mówić, co dobrego mi się przydarzyło.

A co dobrego?

– Wszystko świetnie, jeżdżę na rowerze nawet jesienią, z koleżankami się spotykam,

wróciłam do gry na pianinie, gram w filmach, ale daję również koncerty. Jeśli chce mi się płakać, to płaczę, nawet w galerii handlowej mi się zdarzyło rozpłakać. Trzeba emocje wyrażać. W dzieciństwie uczą nas, że jak się złościś, to jesteś zły. A to przecież bzdura.

Nie bywałaś zła jako dziecko?

– Ja jestem środkowa – mam dwóch starszych braci i dwie młodsze siostry. Jak się jedni czy drugie kłócili, to ich godziłam. Jak byliśmy mali, dużo graliśmy i śpiewaliśmy razem i na próbach zdarzało się, że moi bracia się nawet bili, instrumenty szły w kąt i się tłukli. A ja, mała siostra, ich rozdzielałam. Może też dlatego łatwo mi się w różnych sytuacjach odnajdywać, bo mam naturę pokojową i staram się łączyć ludzi, nie lubię konfliktów, chcę je wygaszać. Ale trochę mnie ta rola mediatora zmęczyła. Choć ma i dobre strony, bo jak jestem na planie, w męskim często środowisku, to dzięki starszym braciom i ich kolegom umiem się szybko odnaleźć. Dobrze się też dogaduję z budowlańcami, cała moja rodzina to górale, a górale – jak wiadomo – to budowlanka, więc wiedziałam od małego, jak to się robi i jak to powinno wyglądać.

Co jeszcze masz z domu?

– Taką prostolinijność, hardość. Pracowitość pewnie też. Kobiety z moich stron musiały wszystko ogarniać. Teraz jednak coś się zmienia, uczymy się oddawać też nieco pola w domu mężczyznom. Jak moja

mama przyjeżdża w odwiedziny, to często Maciek gotuje. Mama się z tego cieszy. W jej pokoleniu był podział na bardziej kobiece i bardziej męskie zajęcia, choć mój tata też czasem gotował. Bo tak naprawdę każda para tworzy swój własny układ. Ja mam różne fazy – w jednej mogę wszystko robić w domu, a za chwilę się buntuję. W Muszynie gotowałam dla całego rodzeństwa. Jak mama była w pracy, miałam dużo obowiązków, to potem miałam fazę, że przez cztery lata nie ugotowałam nic. Gdy poznałam Maćka na studiach, to on nam gotował. A teraz znów ja to z przyjemnością robię. Jeśli się ludzie kochają, to się dogadają.

A u twojego męża w domu było jak?

– Teść jest profesorem AGH i jest przyzwyczajony do regularnego trybu życia, zaczynania i kończenia pracy o konkretnych, stałych godzinach. Więc mają z teściową swój układ. Teść jest czasem zaintrygowany tym, jak my żyjemy, elastycznością, jakiej wymaga nasza praca. Podobnie ma moja mama – dziwi się, jak mogę tyle rzeczy jednocześnie ogarnąć. Mówi potem: kobiecie to jest w tych czasach trudniej, musi być żoną, musi wyglądać, iść do pracy, gotować, dzieci wychować. Ma rację. Dużo szans się otwiera, ale też presja jest ogromna. Mam koleżanki, które chciałyby zostać z dzieckiem w domu, ale wstydzą się, bo przecież nie wypada nie pracować. Że do czegoś takiego doszło... ●